

WIECZORY RODZINNE

B. Dyakowski.

NASZE ROŚLINY UPRAWNE.

I. O CHLEBIE I MACIE.

I. Chleb, jego wartość pożywna i znaczenie.

Bez szkielec, lecz z duszą, co kocha i wierzy,
 Patrę na kawał chleba z mej wieczerzy:
 W tym drobnym zlepku wszak może się chowa
 Cała treść pieśni żywotna i czuła...
 O zlepku żytni! okruszyno marna!
 Jakże twe dzieje ciekawe dla człowieka!
 Z twojemi losy jak ściśle się splata
 I jasny pałac i chróściana chata!

Wł. Syrokomla.

Chleb stanowi jeden z najważniejszych pokarmów ludzkich: bez niego nie mogą obejść się zarówno nędzarze, jak i bogacze. Znajduje się on na stole każdego człowieka, czy to jako najgrubszy, czarny chleb razowy, czy też jako bielutka, delikatna bułka. Łatwiej człowiekowi obejść się bez mięsa, niż bez chleba.

Istnieją wprawdzie ludy (łowieckie a także zamieszkujące głęboką północ), które karmi się przeważnie mięsem, możliwe to jest jednak wyłącznie w takich specjalnych warunkach, jak np. ostry północny klimat, ale nawet i wtedy nadmiar mięsnego pokarmu wywołuje nieraz różne choroby. Dla ludzi zaś z klimatu umiarkowanego a tem bardziej gorącego żywienie się samem mięsem byłoby wprost szkodliwe. Sam chleb również nie byłby zupełnie dostatecznym pożywieniem, w każdym jednak razie prędzejby umożliwił istnienie.

Nic więc dziwnego, że ludzie uważają go powszechnie za najważniejszy pokarm, że w modlitwie prosimy Boga o „chleb powszedni”, że pracę o zdobycie środków do życia nazywamy „pracą na chleb”, on bowiem stanowi podstawę naszego żywienia się i naszego istnienia.

Znaczenie to chleb zawdzięcza przede wszystkim swemu składowi chemicznemu, który sprawia, iż może stosunkowo lepiej,

niż inne pokarmy, zadowolić wymagania ludzkie pod względem odżywiania się.

Człowiek musi jeść, żeby zrównoważyć straty, jakie zachodzą w jego ciele pod wpływem różnych czynności życiowych. Powinien zaś dobrać pokarmy w taki sposób, aby jak najlepiej podtrzymywać swą działalność życiową, aby jaknajdokładniej ze spożytych pokarmów odtworzyć zużyte części ciała. Nie jest więc rzeczą obojętną zarówno to, czem człowiek się karmi, jak i to, w jakich ilościach spożywa rozmaite pokarmy.

Wszystkie pokarmy dzielimy wogóle na dwie grupy. Pierwszą stanowią pokarmy azotowe, które zawierają w swym składzie pierwiastek — azot; zwiemy je także pokarmami białkowatymi dlatego, że azot stanowi główną podstawową część białka. Tu należą: mąka, jaja, ser, niektóre jarzyny. Drugą grupę stanowią pokarmy bezazotowe, nie zawierające w sobie azotu, a mianowicie różne tłuszcze oraz tak zwane wodany węgla. Nie będziemy wdawać się tutaj bliżej w wyjaśnienie składu chemicznego wodorów węgla, wspomnimy tylko, iż do nich zaliczamy cukier oraz skrobię czyli mączkę, to jest główną składową część każdej mąki; w stanie prawie zupełnie czystym znajduje się ona w krochmalu oraz w najbrudniejszych i najlichszych gatunkach mąki.

Wogóle zaś pokarmy, jakie spożywamy, przedstawiają zwykle mieszaninę tych głównych grup pokarmowych, nazwę zaś noszą od przewagi tej lub innej części składowej.

Mięso np., chociaż zalicza się do pokarmów białkowatych czyli azotowych, dla znacznej zawartości białka, zawiera jednak zawsze obok niego mniejszą lub większą ilość tłuszczu, a więc związku bezazotowego.



Chleb, którego najważniejszym składnikiem jest mączka, zawiera jednak pewną domieszkę związków białkowatych, mniej więcej jedną dziewiątą część.

Obliczono, że dorosły człowiek potrzebuje średnio koło 120 gramów *) białka, 40 gramów tłuszczu i 530 gramów wodorów węgla. Nie należy tego rozumieć w ten sposób, że człowiek potrzebuje np. tylko 120 gramów (nieco więcej niż $\frac{1}{4}$ funta) mięsa, jako pokarmu białkowego, ale że potrzebuje on tyle związków białkowatych, zawartych w mięsie czy w jakim bądź innym pokarmie. Mięso oprócz związków białkowatych zawiera jeszcze wodę w dość znacznej ilości, dalej tłuszcz, różne sole, tak, iż na białko pozostaje najwyżej jedna trzecia wagi; zatem należy go spożywać w odpowiednio większej ilości: $\frac{1}{2}$ do $\frac{2}{3}$ funta, żeby dostarczyć organizmowi potrzebnej ilości białka. To samo tyczy się i innych pokarmów.

Z obliczenia tego widać, że w każdym razie wodany węgiel powinny stanowić główną część naszego pożywienia. Tem się właśnie tłumaczy ważne znaczenie chleba, jako pokarmu mącznego, a więc zawierającego dużo wodorów węgla. A że jednocześnie zawiera on zawsze pewną ilość tłuszczu i białka, dostarcza więc organizmowi wszystkich potrzebnych części odżywczych, chociaż nie wszystkich w należytej ilości. Może więc on służyć do podtrzymania życia ludzkiego. Należy tylko pamiętać, iż odżywianie stanie się zupełnie dostatecznym dopiero wtedy, gdy do chleba dodamy brakującą ilość tłuszczu i białka, to jest będziemy go jeść z jakimkolwiek tłuszczem, a także z mięsem, jarzynami, jajami, mlekiem, serem, grochem lub innymi pokarmami, zawierającymi więcej związków białkowatych niż chleb.

Drugą przyczyną znaczenia chleba stanowi to, iż u ludów rolniczych jest on tańszy i dostępniejszy dla ogółu ludności od innych pokarmów. Wszędzie, gdzie rolnictwo jest głównym bogactwem kraju, tam chleb jest najbardziej rozpowszechnionem i najważniejszym pożywieniem.

Stąd płynie ogromne znaczenie, jakie posiadał on zawsze u nas od czasów, gdy przodkowie nasi, przetrzebiwszy odwieczne puszcze, porastające ongi Polskę, zarzucili stopniowo łowiecki tryb życia i stali się rolnikami. A znaczenie to jego odbiło się w mnóstwie przysłów i zwyczajów starodawnych i także w poszanowaniu, jakim cieszy się u nas zawsze chleb, ten najważniejszy dar Boży.

Z przysłów widać, że przodkowie nasi uważali chleb za podstawę wszelkiego jedzenia i że „bez chleba — nie obiad!” Był on koniecznym dodatkiem do mięsa „bez chleba i zwierzyna nie smakuje”. „Nie w smak mięso bez chleba a bez soli jaja” pisze Wacław Potocki, autor z końca XVII w. Zupełnie słusznie przytem oceniali dawni Polacy pożywną wartość sera, który jako dodatek do chleba może doskonale zastąpić mięso: „chleb z gomułką za zwierzynę stoi”. I niemniej słusznie określali jego własność pożywną: „chleb i woda — niema głoda”; „kto ma sól z chlebem, nie umrze głodem”. Złe zaś jest dopiero wtedy, kiedy chleba zabraknie: „Niema chleba, niema soli, gospodynię głowa boli”.

Jako pokarm posilny i niewyszukany, nie może on nigdy zbrzydnąć: „chleb się nie przeje”. Podczas gdy o innych pokarmach nie można tego powiedzieć. „Gdyby nie było chleba po dziurki, sprzykrzyłyby się manna i przepiórki”.

Dla tego to chleb stanowił podstawę dobrobytu: „kto ma chleb, ten ma wszystko”, a nieposiadający go słusznie był uważany za biedaka: „tam chleb w nie-

działę tylko jeść można,” mówiono na oznaczenie nędzy. To samo stosowano nie tylko do poszczególnych ludzi, ale i do całych krajów: „Biedna ta kraina, gdzie się chleb kończy, a kamień zaczyna”. Górale na oznaczenie nieurodzajności swej ziemi, mówią, że „w górach chleba koniec, a wody początek”. Ale że na ogół w Polsce nie brakło ziem żyznych i chleb rodził dobrze, mogli więc Polacy mówić o sobie: „w naszej koronie jest z łaski Bożej żyto do chleba, len do płótna, owce do sukna, strawa do koni, kruszce do broni”.

(d. c. n.)

PSIE POLE.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA DLA MŁODZIEŻY
przez

Włodzimierza Trąpczyńskiego.

(Dalszy ciąg).

III.

W lochu więziennym.

Kruszynka długo w noc nie mógł zmrzyć oka, a stosując się ściśle do rad Wincza i starosty, rozważał w młodej głowie swojej, w jaki sposób objaśni królewicza o tak ważnych dla wszystkich nowinach. Znał on popędliwy, porywczy nawet charakter Bolka, znał także jego odwagę i wiedział, że syn królewski nie ulegnie się ani na chwilę groźnego wojewody.

— Sam nie pójdę — dumął Kruszynka, wyciągając się na postaniu — mogłoby to niepotrzebnie zwrócić uwagę. Zresztą jestem pewny, że królewicz skoro tylko będzie mógł, wyrwie się i przybiegnie tutaj na wieżę, a wtedy łatwiej mi będzie znaleźć sposobność, aniżeli tam wśród tylu obcych i niechętnych twarzy.

Z tą myślą zasnął i spał tak twardo, że słońce dość wysoko wzbilo się już na niebo, gdy nareszcie otworzył oczy i rozglądać się zaczął wokoło. Potrzeba było dłuższej chwili, zanim przypomniał sobie polecenie Wincza. Kruszynka ubrał się prędko, pomodlił się gorąco i postanowił czekać na przybycie królewicza. Ale miały długie bardzo chwile, a syn Władysława Hermana nie pojawiał się na wieży. Chłopiec podchodził do okna, ale tutaj nic nie mógł wypatrzyć, jak okiem bowiem sięgnąć błyszczała sina tafla wód goplańskich, pomrukujących z cicha i odrzucających bałwany swoje ku brzegom kujawskim, gdzie powstrzymywane, rozbijały się drobnymi pyłkami.

Kruszynka czekał, długo czekał, a chwile te wydawały mu się wiecznością. Gdybyż jeszcze weszli do jego pokoju starosta lub Wincz! Wtedy rażniej by mu było, wtedy poradziłyby się, zasięgnął nowych wskazówek.

Sługa, oprzątający komnaty, niepomiernie był zdziwiony, że młody gość naczelnika, ten, który ze świtem zrywał się zazwyczaj, tym razem wyleguje się i wypoczywa, nie śmiał też wejść i dopiero, gdy już pora wydała się naprawdę późną, odważył się przekroczyć próg sypialni chłopca. Sługa jeszcze więcej się zadziwił, gdy Kruszynkę zastał już na nogach i w pełnym odzianiu.

*) Nasz funt wynosi trochę więcej, niż 400 gramów, koło 409.

— Ho! ho! zaspaliśmy — rzekł stary posługacz, i mógł sobie jako dzielny w swoim czasie bojownik pozwolić na taką poufalskość wobec syna rycerskiego. Zaspaliśmy — powtórzył — a tu dzisiaj ruch od samego rana, że i umarłego ten hałas poruszyłyby chyba w grobie.

— Głowa mnie bolała z wieczora — tłumaczył się z pewnem zakłopotaniem Kruszyńka — i dlatego zapewne przespałem dłużej. Zkądże jednak wziął się ten ruch niezwykły, o którym wspomnieliście? Czy może naznaczono łowy, lub strażę na Gople dojrzały jakieś znaki tajemnicze?

— Ani jedno, ani drugie, sam też nie wiem, jak sobie to tłumaczyć. Wczoraj jeszcze mówiono, że pan nasz miłościwy zasłabł bardzo i że wobec tego dwór cały zabawi dłużej na zamku kruszwickim. Podobno nawet królówicze Bolko rzeczywiście zamierzał zrobić ztąd małą wyprawę.

— Mówił mi o tem, a nawet chciał wziąć z sobą — odparł Kruszyńka i dodał ze smutkiem w głosie — ale, jak widzicie, nie do boju ja stworzony.

— Juścić to prawda — uśmiechnął się stary sługa, obejmując wzrokiem małą, niepozorną i kalectwem napiętnowaną postać młodzieńca i zaraz na pocieszenie zauważył: — Czyż to wszyscy bić się tylko muszą? A księża, a białogłowy, a ci wszyscy, którzy nieraz mądrą radą działać mogą więcej, niż my wszyscy orężem.

— Nie mówicie jednak, co się właściwie stało? przerwał Kruszyńka.

— Więc powiem: oto dziś w nocy przyjechał ten przeklęty bies (tu stary splunął), ten, ten, jak go tam zowią?...

— Stonóg? — podchwycił Kruszyńka.

— On ci to, on przyjechał i chociaż dobrze już było po północy, natychmiast kazał się wieźć na pokoje wojewody. Co z sobą mówili, to chyba tylko Pan Bóg wie jedynie, dość, że wojewoda Sieciech dziś bardzo wcześniej kazał pobudzić dwór cały i zapowiedział, że wszyscy mają być gotowi do drogi. Ztąd ruch taki, a niezadługo zapewne uderzą w kołty i rogi, zajadą karoce królewskie i Kruszwica opuści stószeje.

— Ależ mówiliście przecież, że pan nasz najmiłościwy zasłabł — z drzeniem wtrącił Kruszyńka.

— I cóż to obchodzi Sieciecha! — mruknął, pogardliwie wruszając ręką, sługa zamkowy.

— A królówicze Bolko?

— I on jedzie ze wszystkimi.

— Spóźniłem się — jęknął, nie mogąc się powstrzymać przybrany syn Maćka i załamując ręce, chodził wzdłuż i wszerz komnaty, a z ust jego padały jakieś niezrozumiałe dla sługi zamkowego słowa.

— Teraz już wszystko stracone, królówicze pojedzie, a oni zgniją w lochach kruszwickich. Dlaczego jednak Wincz nie zwolnił mnie wcześniej z przysięgi!

Sługa zdumiony patrzył na ten wylew rozpacz, wruszał ramionami i wreszcie zapytał:

— O kimże to mówicie, że zgniją w lochach?

Kruszyńka przystanął i jak błędny, wpijając chude palce swoje w ramiona sługi, rzekł cicho:

— Zgniją wszyscy i Maćko, i Natan, i te Mazury, i nawet syn królowski.

— Jaki syn królowski? — w osłupieniu zawołał sługa i przeżegnał się, jak gdyby odpędzić chciał od siebie człowieka, któremu pomieszały się wszystkie klepki.

Ale Kruszyńka nie odpowiedział nic i tylko nałożywszy czapkę, pchnął drzwi od sieni i z okrzykiem: „Może ich jeszcze zdołam uratować” wybiegł na dziedziniec zamkowy. A tutaj istotnie rojło się

jak w ulu. Studzy biegali w tę i ową stronę, nawoływali się, dźwigali okute skrzynie, ładowali wszelkie nieodzowne w podróży przybory, a w jakąś chwilę przez otwartą na schieżaj bramę wyruszył wóz w otoczeniu dobrze uzbrojonych ludzi. Drogi były niepewne, a od Mogilna poczynając aż ku Trzemesznu i Szczytnikom ciągnęły jeziora głębokie i lasy prawie nieprzebyte. O rabusiów w tych warunkach nie trudno, a wiadomo, że wśród bagien i borów nierządki nawet obierali sobie siedlisko, krwi i dostatków żądni awanturnicy niemieccy, którzy na ziemię wielkopolską radziby byli przenieść zbójceckie obyczaje, panujące w ich ojczyźnie, gdzie to żaden kupiec, ani żaden wogóle zamożniejszy przejezdny nie mógł być nigdy pewny swego życia i mienia.

Stanąwszy na dziedzińcu, Kruszyńka rozglądał się zaczął ciekawie, a oczyma szukał przedewszystkiem królówicze Bolka. Zamiast niego ujrzał wojewodę, który sam doglądał wszystkiego i ostrym, donośnym głosem wydawał krótkie, urywane rozkazy. Jakaś groza biła od postaci Sieciecha; małym inikłym uczuł się chłopiec w tej chwili, więc usunął się na bok, przystanął pod murem i niepewny a bezradny stał, nie wiedząc, co począć dalej. Gdybyż jeszcze znajdował się przy nim rówieśnik jego, syn Maćkowy, a brat przybrany Dobek, to lżej by mu było i miałby przynajmniej z kim podzielić się utrapieniem. Ale drugie pacholę, zaraz po przywiezieniu schwytych u Natana więźniów zdołał Wincz zgrabnie usunąć i wraz z powiernikiem wystąpił do Mielżyna, ażeby rodzina Maćka dowiedziała się o tem, co się stało, i ażeby mogła użyć wpływów swoich dla oswobodzenia niewinnych.

Kruszyńka był sam, sam jeden, ani bowiem starosta gostyński, ani stary Wincz nie nasunęli mu się w dziedzińcu. Czekał długo, wreszcie odważył się przysunąć bliżej do wozów, ale popychany i potrącany znów wracał do kąta, z którego mógł przynajmniej widzieć schody i osoby uwijające się w przed-sionkach.

Musiał Kruszyńka z niezwykłym natężeniem wlepiony mieć wzrok i musiał nieczułym być na wszystko, co go otaczało, kiedy nie zauważył nawet, że tuż obok przesunął się ryży Stonóg i stanął również w pobliżu. Dopiero też, gdy poufalec Sieciecha wziął go za rękę, Kruszyńka drgnął, a rumieńce oblały twarz jego.

— Mógłbyś też pójść do domu — mruknął Stonóg, usuwając przemocą chłopca. — Kręcieniem się swoim po dziedzińcu przeszkadzasz tylko drugim.

Kruszyńka uczuł lęk, przemógł się jednak i choć wstręt nieprzewyciężony czuł do tego szpiega, o którym słyszał niejedno podczas rozmów Wincza z starostą, uderzył w pokorę:

— Nie przeszkadzajcie mi — rzekł błagalnie — takich cudowności nie ujrzę może nigdy więcej w życiu. Czyż to często się przytrafia, że człowiek na własne oczy oglądać może majestat królowski?

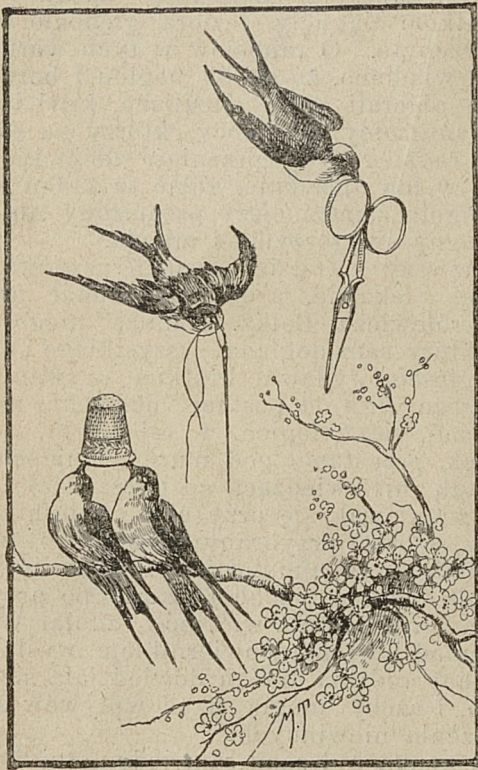
Stonóg roześmiał się pogardliwie, ale nie powtórzył już swojego rozkazu i przeszedł w inną stronę dziedzińca, aż wreszcie znikł z oczu chłopca.

Kruszyńka odetchnął i znów zajął się uważnem badaniem tego, co się dzieje przy zamku.

Na dziedzińcu stawało się już coraz luźniej, pozostało zaledwie kilka wozów i kolasy, przeznaczone dla pary królowskiej, dla wojewody i dostojników. Bolko nie ukazywał się ciągle jeszcze i Kruszyńka zupełnie tracić począł nadzieję, gdy nagle podprowadzono pod zamek wspaniale przybranego, siwego konia arabszyka.

Nasze konkursy II półrocza.

I. Konkurs na roboty ręczne dla pańienek.



Powietrzny szlakiem, drogą świetlaną,
 Jaskółki mkną, jak myśl.
 Patrzcie z czem lecą w słoneczne rano
 Do waszych strzech i serc.
 Ta — z nożyczkami, z napastrkiem — druga,
 U trzeciej z igłą nic.
 Niech będzie praca, będzie zasługa,
 Niech będzie cenny dar!
 Wiedzą, że przyjdzie znów sroga zima,
 I wiatr, i mróz, i chłód.
 A biedna dziatwa ubrania niema,
 Co wtedy będzie z nią?
 Jaskółki same szyć nie umieją,
 Lecz tylko gniazdko wie...
 Panienki! dla was są te nożyczki,
 Napastrzek, z igłą nic!...

Jak zwykle, w konkursie tym nie idzie nam o jakieś wyszukane prace, lecz o najprostsze i najwyczejniejsze, które nie powinny być obce żadnej kobiecie. Ze względu zaś, że płon tego konkursu rozdamy przed świętami Bożego Narodzenia biednej dziatwie ze Szpitalika, Towarzystwu Rozdawnictwa Odzieży, ochronkom i znanym Redakcyi uboższym dzieciom, roboty winny być zastosowane do ich potrzeb, a zatem ogłaszamy konkurs przeważnie na trzy rodzaje robót:

- a) Bieliznę dzieciinną.
- b) Sukienki i ubranka.

c) Roboty włóczkowe (kaftaniki, spódniczki i t. p.)

Nadto biegłejsze i wprawniejsze pańienki mogą także przysyłać na konkurs próbki swej umiejętności w wykonywaniu trudniejszych i zbytkowniejszych robótek, jako to — haftów, koronek, wyszywania i t. p.

Termin nadsyłania robót ręcznych — 1 października 1904.

II. Konkurs na wypracowanie dla wszystkich czytelników i czytelniczek.

Dajemy cztery temata do wyboru:

- 1) Wyjaśnić w opowiadaniu, zaczerpniętem z własnego doświadczenia lub z historii, trafność przysłowia polskiego: „nie mów hoc, aż przeskoczysz.”

2) Opisać i porównać charaktery dwóch bohaterów powieści „Obowiązek” (drukowanej w dodatku powieściowym w I-em półroczu): Maryni i Emmy.

3) Skreślić życiorys postaci z historii powszechnej, najbardziej zdaniem piszącego godnej podziwu i wyłożyć przyczyny swojego wyboru.

4) Dla młodszych czytelników do lat 11. Streścić własnymi słowami ulubioną swoją bajeczkę i przy końcu dodać, dla czego się piszącemu podobała.

Przy sądzeniu będziemy zwracali uwagę nie tylko na treść, lecz na poprawność języka i staranność stylu.

Termin nadsyłania wypracowań — 1 września r. b.

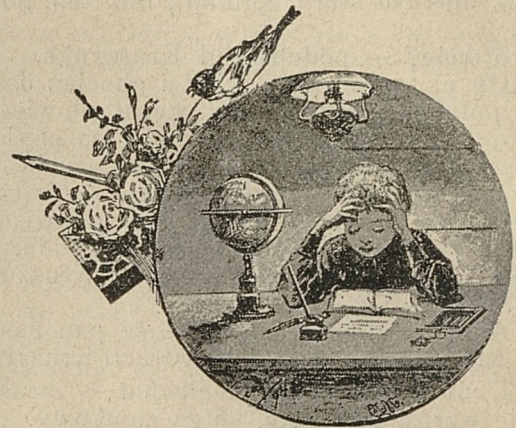
Warunki dotyczące obu konkursów.

Przy każdym wypracowaniu należy podać imię, nazwisko, wiek, (rok 10-ty, 11-ty i t. d.) dokładny adres. Te same wiadomości należy wypisać na kartkach i przyszyć je do każdej sztuki roboty, choćby od jednej pochodzącej osoby.

Kto w sprawozdaniu nie chce być ogłoszony z nazwiska, niech poda pseudonim.

Na kopertach z wypracowaniami trzeba notować z boku: *wypracowanie* i do tych kopert żadnych listów z zadaniami lub zapytaniami nie dołączać, gdyż otwarte będą dopiero po 1-ym września. Listy niedostatecznie frankowane przyjmowane nie będą.

Z powodu trudności przy odbieraniu posyłek zagranicznych, prosimy czytelniczki nasze, mieszkające za granicą, aby roboty ręczne na konkurs przesyłały tylko przez okazyję, wypracowania mogą być wysyłane pocztą.



NAJLEPSZE PRACE W OBU KONKURSACH OTRZYMAJĄ NAGRODY W KSIĄŻKACH.

Adres: Warszawa, Mazowiecka 10,
 „Wieczory Rodzinne.”

Mapes Dodge.

SREBRNE ŁYŻWY

POWIEŚĆ NAGRODZONA PRZEZ AKADEMIE FRANCUSKĄ

Przeł. A. Morzkowska.

(Dalszy ciąg).

XVI.

Andzia Bowman. — Janek szuka roboty.

Andzia Bowman wracając z Amsterdamu, spotkała na kanale Janka.

— Dzień dobry, Andziu — powitał ją chłopiec.

— Dzień dobry, Janku. Hania w domu? Dokąd tak pędzisz?



rys. Antoni Kamiński.

Cesarz Napoleon robi przegląd swych wojsk pod Orszą nad Dnieprem w 1812 r.

— Do Amsterdamu. U nas w domu wielkie nowiny.

Dziewczynka z ciekawością spojrzała na chłopca.
— Powiedz prędko, jakie nowiny?

Janek opowiedział szczegółowo o wyzdrowieniu ojca, o braku pieniędzy, w końcu zwierzył się Andzi ze swego zamiaru sprzedania stalowych łyżew, aby choć na parę dni uchronić rodzinę od głodu.

Dziewczynka przerywała mu często wykrzykami zdziwienia, radości i smutku.

— Chcesz sprzedać nowe łyżwy, Janku? — zawołała — Ty najłepszy łyżwiarz w całym Brocku. Ależ za pięć dni będą wyścigi.

— Wiem o tem — odparł spokojnie — pomimo to łyżwy sprzedam. Do widzenia, Andziu!

Zaledwie oddalił się, Andzia przywołała go znowu.

— Czego chcesz, Andziu? — zapytał.

— Janku, po co masz biedz z łyżwami aż do Amsterdamu. Ja mam na nie kupca.

— Ty?

— Tak, z pewnością. Proszę cię, Janku, daj mi swoje łyżwy, a ja wam odniosę pieniądze. Znam kogoś, komu twoje łyżwy bardzo się podobały.

— Dziękuję ci, Andziu, za życzliwą pomoc — odpowiedział Janek, zdejmując łyżwy; wytarł je starannie przed oddaniem. Ale — zaczął znowu — jeśli twój znajomy kupił już sobie inne łyżwy, to odnieś nam te wieczorem.

— O! nie, mój znajomy z pewnością jeszcze sobie łyżew nie kupił!

Skinęła mu głowę z uśmiechem i pobiegła dalej, brząkając stalowymi ostrzami.

Chłopiec tymczasem nałożył dawne swoje drewniane łyżwy.

Zbytek ma tę złą stronę, że odzwyczajają nas od spokojnego znoszenia braków. I Jankowi ciężko było teraz ślizgać się na niezgrabnych kawałkach drzewa. Westchnął nawet żałośnie, ale szybko stłumił egoistyczne uczucie żalu.

— Matka pewno gniewać się na mnie nie będzie za tę sprzedaż — myślał. — Tyle kłopotów miała z powodu braku pieniędzy.

Dnia tego Janek przebiegł połowę ulic Amsterdamu, szukając roboty. Zarobił kilkanaście centów, pomagając znosić towary z wozów, ale stałej pracy nigdzie nie znalazł. Tu miejsce było zajęte, tam kazano mu za kilka dni wrócić; gdzieindziej nikt go nawet nie chciał wysłuchać.

O zachodzie słońca wrócił do domu; miał gardło kurczowo ściśnięte, sam nie wiedział, czem: strapieniem, zmęczeniem, może głodem. Pozostało mu jeszcze jedno. Może pan van Holp powrócił z Rotterdamu, trzeba poprosić go teraz o robotę.

W kancelaryi spotkał Piotra.

— A! to ty, Janku — powitał go młody człowiek wesoło. — W tej chwili nikogo tak widzieć nie pragnęłam, jak ciebie.

Tu nareszcie czekała Janka dobra nowina. Od jutra miał rzeźbić nowe drzwi do letniego pawilonu; potrzebne narzędzia miał przygotowane.

— Mam nadzieję, że potrafię tę robotę wykonać — odezwał się Janek — chociaż rzeźby w drzewie nie uczyłem się nigdy.

— Masz do tej rzeźby wielkie zdolności, ale jak zdrowie twego ojca, czy polepszyło się?

— Tak panie. Z każdym dniem lepiej.

— To wyzdrowienie do cudów zaliczyć można. Ten nieznośny Bockman jest istotnie znakomitym chirurgiem i wielkim człowiekiem.

— On jest nie tylko wielkim ale i dobrym człowiekiem — rzekł Janek gorąco. — Gdyby nie jego zręczność i dobroć, mój ojciec byłby jeszcze nieprzytomny. Ach! panie Piotrze, chirurgia to piękna nauka.

— To być może, ale nie mam do niej żadnej sympatii. Doktor Bockman jest uczony, nie przeczę, ale co do jego serca... Od takich serc strzeż nas, Panie!

— Dlaczego pan to mówi?

W tej chwili weszła do pokoju pani van Holp. Janek skłonił się przed nią i chciał odejść.

— Zaczekaj chłopcze — odezwała się pani do mu. — Byłam w sąsiednim pokoju, kiedy mówiliście zdaje mi się, o doktorze Bockmanie. Masz słusność Janku, że przyznajesz mu dobre serce. Piotrusiu, nie sądź doktora według pozorów, które przyznają, odstraszaają od niego ludzi.

— Szanuję go, matko — odpowiedział Piotr — ale czemuż wiecznie jak wilk na ludzi patrzy? Mówią, że zawsze i wszędzie opryskliwy jest i nieznośny.

— Wiele rzeczy mówią — uśmiechnęła się pani van Holp — ale według tego sądzić człowieka nie można. Bockman przeszedł wielkie nieszczeście, na które dotąd nie znalazł pociechy. Stracił syna jednaka i to w jakiś tajemniczy sposób; był to śliczny chłopiec, za gwałtowny może. Dawniej doktor Bockman był jednym z najmiłszych ludzi, jakich znałam.

Jednakże Piotr nie godził się na zdanie matki; zdawało mu się, że człowiek najniezwyklejszy nawet nie powinien z tego powodu całego świata zalewać swoją goryczą.

Janek chciał go już pożegnać, lecz Piotr zatrzymał chłopca jeszcze, aby mu przypomnieć wyścigi; teraz, kiedy ojciec odzyskał zdrowie, Janek powinien codziennie ślizgać się dla wprawy.

— Nie będę należał do ścigających się — odparł Janek.

— Co? Dla czego?

— Bo nie mogę.

Zakłopotanie chłopca ostrzegło Piotra, że nie należało badać dalej tej sprawy. Pożegnał go więc i stał jeszcze chwilę na progu domu, patrząc na oddalającego się Janka. Po chwili przywołał go.

— Janku!

— Co panie?

— Szczęśliwy jestem.

Roześmieli się obaj. Lecz radość Piotra zmniejszyła się, kiedy dojrzał, że Janek nakłada drewniane łyżwy.

— To dziwne — pomyślał — co on zrobił z nowymi łyżwami?

XVII.

Wróżka. — Zegarek tajemniczy.

Słońce już zaszło, kiedy Janek wrócił do domu. Wesoło mu było. Znalazł pracę.

Koło domu krążyły dwie niewielkie postacie. Jedną z nich była niewątpliwie Hania, tą drugą zaś w czerwonym paltociku, w spódnicy granatowej, w zgrabnym na głowie kapturku była z pewnością Andzia Bowman.

Dziewczynki chodziły wolno, a ich ruchy, giesty, wyraz twarzy dowodziły, że rozprawiają niezmiernie poważnie, tak poważnie, jak gdyby chodziło o najważniejsze sprawy dotyczące Holandyi.

Janek podbiegł ku nim.

— Wiwat! znalazłem robotę!

Ten okrzyk wywabił matkę z domu.

Ona także niosła dobre nowiny. Ojciec czuł się coraz silniejszy. Cały dzień nie kładł się wcale, teraz usnął.

Janek zdał matce sprawę ze swych poszukiwań, a potem Andzia odciągnęła go na stronę.

Janku, teraz na mnie kolej — mówiła — sprzedałam twoje łyżwy i przyniosłam ci pieniądze.

— Siedmiu florenów! Ależ ja i połowy tej sumy za nie nie dałam.

— Ha! skoro mi tyle zapłacili...

Janek milczał chwilę.

— Ej! Andziu... zaczął podejrzliwie.

— Ej! Janku! — przedrzeźniała go dziewczyna.

— Ja tyle pieniędzy wziąć nie mogę.

— A to co znowu? — gniewać się zaczęła. — Ile mi dali, tyle wzięłam i tyle ci przynoszę.

— Ależ...

— Niema tu żadnego ale. Kupujący sam ocenił łyżwy. Ja nie targowałam się o nie. Sama nie wiedziałabym, ile za nie żądać. Proszę cię, Janku, nie róbże mi kłopotu...

Patrzała na niego z takim rozżaleniem w błękitnych oczach, że Janek ustąpił. On jej zawsze ustępował.

Oddał matce pieniądze.

— Niech ci Bóg wynagrodzi, moje dziecko — mówiła. — Wielkie to było poświęcenie z twojej strony.

— Dla ojca? — zapytał Janek uśmiechając się. Oto jeszcze zadatek od pana van Holpa.

— Matka wyciągnęła rękę.

(d. c. n.)

PIERŚCIEN.

Już ogień płonie, już płonie
Rozkłada światło po stronie,
Rozkłada światło tam w dali,
A długoż będziemy czekali?
Oj, toć nam czekać nie trzeba
A póki w nocce są nieba,
Kupale *) rzućmy co w darze,
Choćby wianuszków po parze. **)

Tak śpiewając, zebrane dziewczęta na wzgórzu wzięły się za ręce i kilkakrotnie w takt pieśni obróciły się dokoła rozłożonego ogniska.

Potem powtórzywszy ostatnią zwrotkę, poczęły zdejmować z głowy wianki i wrzucać je w płonący ogień.

Płomień wybuchający dotąd wesoło, przytłumiony nagle zieleń, począł gasnąć, rozwłócząc dym nisko i wydając woń nieprzyjemną. A dziewczęta patrząc na przygasający ogień, na żalną nutę poczęły:

Kupało nie chce tych darów,
Cóż zaś poczniemy niebogi,
Toć puste jeszcze są brogi,
Więc cóż jej damy w noc czarów?

Wtem ogień wysuszywszy ziele, zajaśniał znów wesoło, a rozradowane dziewczęta poczęły obiegać ognisko, przyspiewując wesoło:

Hej szczęście dla każdej z nas blisko,
Bo płonie, hej płonie ognisko.

— Uuu, uuuu!

— Hua, huua!

— Fiu, fiuut!

Ozwały się liczne głosy naśladujące ptaki.

Było więc hukanie sowy, coś jakby nawoływanie pułhaczy, kucie w drzewo dzięcioła, łoskot skrzydłami, pisk, aż ozwało się i wycie i szczekanie psa a nawet przeraźliwe miauczenie kota.

*) Kupało, bogini zbiorów, o której zapewne lud nie wie, lecz do dzisiejszego dnia imię jej w pieśniach powtarza.
**) Ze starodawnych pieśni.

Cały las okalający wzgórze rozbrzmiewał onemi głosami, zdawało się, że nie tylko ptaki ale i czworonozne zwierzęta obraższy się, że im kłóć spokój i przerywają nocną ciszę, zebrały się na wspólną naradę, żeby bronić swego schronienia.

Lecz te głosy nie straszne znać były dla dziewcząt. Wprawdzie rozpierzchły się po wzgórzu, lecz śmiały się cicho, udając jeno przestraszonych.

A z za krzaków poczęli wyskakiwać chłopcy udając znów głosy ptaków i zwierząt.

Tu i owdzie poczęła się odzywać fujarka, lika, to jakieś brząkaćka i dzwonki, wtórującą im som ptaszęcym.

I przy dźwięku tej niezwykłej muzyki poczęły się gonitwa za uciekającymi i kryjącymi dziewczętami.

Aż nareszcie wśród śmiechu i żartów, dziewczęta dagonili, sprowadzając do płonącego ogniska raz też wzięwszy się wszyscy za ręce, śpiewając:

Kupałnocka, moja nocna,
A księżycu oko
Hej patrzy wysoko!
Hej patrzy wysoko i da dobrą dolę.
Czyli w domu, czy za domem, czyli wyjdę w pole,
Hu! ha! *)

I to mówiąc, rozerwali kolo, rozbiegli się po wzgórzu, dziewczęta stanęły na uboczu a chłopcy przeskakiwali przez ogień.

Wtem dziewczęta zbiwszy się razem, poczęły z wielkim przestraszaniem spoglądać na skraj lasu.

Przystanęli i chłopcy — zaprzestali zabawy i z lękiem w tęż samą poglądali stronę.

A tam stał rycerzyk,
Rycerzyk pięknie odziany,
Stał i patrzył...

Promienie księżycu obrzuciły go blaskiem, a on stał cały jakby w srebrze skąpany, wydawał się jak ów król, co o nim baśni prawią, co to zjawia się w noc miesięczną Kupałową. A popatrzawszy na przelektych chłopców i dziewczęta, zdjął z palca drogocenny sygnet i rzucił go przed siebie. Sygnet zawiesił się na liściu paproci i oświecił swym kanikiem, urągając brylantom rosy i promieniom księżycu.

Sygnet pozostał. Rycerzyk się oddalił i znikł w ciemności lasu.

I zaległa cisza. Cisza bezmierna, cisza nocy letniej.

Ósmieleni ciszą chłopcy pierwsi poczęli się skupiać około dogasającego ogniska.

Przysunęły się i dziewczęta.

Patrzyli na siebie, nikt nie śmiał słowa wymówić.

— Duch? — szepnęła jedna z dziewcząt.

— Duch... — powtórzyli chórem.

— Skarb! — zawołała nagle jedna z dziewcząt, wskazując na błyszczący wśród zieleni pierścień.

— Skarb! — powtórzyli inni.

I z wielkim strachem nachylili się nad patrzącym na nich błyszczącym okiem pierścieniem.

— Zaklęty? — spytała jedna z dziewcząt.

— Zaklęty... — odpowiedziano jej z przestraszonym głosem.

— W Imię Ojca i Syna... — przeżegnała się dziewczyna, czyniąc znak krzyża świętego.

I wszystkie dłonie podniosły się ku czołu.

Chłopcy i dziewczęta spojrzeli na siebie.

Nikt nie śmiał ruszyć się z miejsca, nikt słowa przemówić. Aż najodważniejszy z nich Jasiek, wyszeptał:

— A kysz, a kysz! uciekaj zła siło!

*) Ze starodawnych pieśni.

Wszyscy z wielkim podziwem spojrzeli na śmiałka.

Ten patrzył na pierścień, sądząc, że po tem zakłóci z przed oczu ich zniknie.

Lecz pierścień mienił się w promieniach księżyca, telkim brylantem, spoglądając na nich spokojnie.

— Wszelki duch Pana Boga chwali! — ozwał ów śmiałek, nabierając coraz więcej odwagi.

— I ja go chwali! — ozwał się głos z głębi lasu. Wszyscy obejrżeli się mimowoli w stronę, skąd pochodził. Nie było nikogo.

— Pierścień nie pochodzi od złego ducha! — zawołał znów śmiałek.

— Nie! — powtórzono chórem.

Weźmy go z łuskiem paproci i ziołmy na w kościele — mówił stanowczym głosem Jacyś śmiałem odezwaniem się, wziął na siebie i y wódce.

(d. n.)

Z. Morawska.

ZAGADKA.

ui. I. B

Mam liter siedmi! Ta liczba wspaniała
Pełna uroku i tajemniczości,
Już sama przez się świadectwo by dała
O mej potędze i o mej wielkości.
Lecz czarów moich tak silne są pęta,
Że choć panuję letnią porą tylko,
Wiem, że ona młodzież wciąż o mnie pamięta
I marzy o mnie każdą wolną chwilką.
Z sześciu mych liter są drzewa lub krzewy,
Co w czerwcu kwiatów wonne ślą powiewy.
Z pięciu zaś liter — rzecz pełną korzyści,
Dzierżą bankierzy i kapitaliści.
Z czterech mych liter zrobisz nazwę włóści —
Od Wilna w niezbyt wielkiej odległości.
W innym układzie napój pospolity,
Lecz budzi wszędzie ogólne zachwyty:
Taki jest dobry. A z trzech liter wreszcie
Od wieków znane masz imię niewieście.
Zgadnijcie teraz: ktom ja i me części?
I niech się wszystkim moja pora szczęści!

FIGIEL.

Bez czego chłop z lasu do domu nie przyjedzie?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 22-go.

Zadania arytmetycznego: Pudełko Stefcia zawierało 160 klocków. Pierwszy ułożony przezeń kwadrat miał z każdej strony dwanaście klocków.

Szarady: Ka — zno — dzie — je.

ROZWIĄZANIA DO N-ru 23-go**Niteczki Aryadny:**

Uwaga chromego.

Kiedy pierwszy raz wnijdę w jakie zgromadzenie,
By poznać ludzi, zważam pierwsze ich spojrzenie:
Rozsądni naprzód spojrzą na mą nogę prawą,
Głupi naprzód na lewą, którą mam kulawą.

A. Mickiewicz.

Zagadki ludowej: Łąka i kosa.**OGŁOSZENIA.**

Przyjemna i pożyteczna rozrywka

NA WAKACYE DLA MŁODZIEŻY

Motyle

Wskazówki do zbierania krajowych motyli, poradzerek i gąsienic oraz do urządzania zbiorów amatorskich. Przetłumaczył z niemieckiego i uzupełnił Wł. U. Z czterema tablicami kolorowanymi i 7-ma rysunkami w tekturce, z ozdobną okładką kolorowaną.

Cena w oprawie **rb. 1 kop. 20**, z przesyłką **rb. 1 kop. 40**.

Nakładem księgarni

A. C. Dubowskiegow Warszawie **Marszałkowska 91**. Do nabycia we wszystkich księgarniach.**Pensyonaty lecznicze dla dzieci**

Julii Benoni Dobrowolskiej

w Zakopanem ul. Jagiellońska willa „Nieczujaj”, otwarta rok cały.
w Rabce willa „Stara Kolonia”, otwarta przez sezon letni. 3—2

NOWE KSIĄŻKI.

nadesłane do redakcyi.

Dr. K. Doll. O chorobach zakaźnych ze szczególnem uwzględnieniem chorób zaraźliwych wieku dziecięcego, przeł. dr. Z. Szymanowski, Warszawa, u Centnerszvera. (Dla dorosłych).

A. Morzkowska. Co Bronia przez cały dzień robiła. Biblioteczka imienia B. Prusa, cena 6 kop.

Od redakcyi.

Przypominamy o wczesnem odnowieniu prenumeraty na kwartał III-ci.

Do tego numeru dołącza się premium bezpłatne za czerwiec; nowy zbiór zajmujących rozrywek.

PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnoszeniem do domu **rub. 4**, z przesyłką pocztową **rub. 5** — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna — miesięcznie w Warszawie **kop. 35**.

Cena ogłoszeń: za wiersz petitowy jednoszpaltowy lub jego miejsce — 12 kop.

ADRES REDAKCYI, ULICA Mazowiecka Nr. 10.

TREŚĆ: Nasze rośliny uprawne, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Psie pole, powieść Włodzimierza Trąpczyńskiego. — Nasze konkursy II półroczna (z ryc.) — Srebrne łyżwy, przekład A. M. — Cesarz Napoleon robi przegląd wojsk (z ryc.) — Pierścień. — Łamigłówni i rozwiązania. **Dodatek:** W opalach, wiersz przez Adama Lacha (z ryc.) — Poprawa Tadziana — Nierozważny motyl przez Maryą Weryho. — Dary, przekł. M. G. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów.

Bezpłatny dodatek książkowy: Sewerka, powieść przez W. Marréne-Morzkowską.

W opałach.

Stasio to ci zuch nad zuchy,
Zajrzeć w każdy kąt się stara,
Nie zmyka przed brzękiem muchy,
Nie obawia się komara.

Na wakacyach u wujaszka
Codzień ma sposobność nową
Zdobyć sławę młodzieniaszka
Z mężnem sercem, dzielną głową.

Choć kret przemknął pod nogami
Lub nietoperz koło ucha,
Ani krzyknął. — Sądźcie sami:
Czy z niego nie kawał zucha!

Kiedyś chodząc śród podwórka,
Słyszy: — coś w ptaszarni gęga,
Patrzy: — zamknięta komórka!
Więc do skobla zaraz sięga.

I otwiera drzwi z paradą,
By zbadać, co tam takiego,
A tu gęsi całe stado
Jak nie rzuci się do niego!

Bo pewno się spodziewało,
Że gęsiarek niesie jadło,
Więc gromadą wygłodniałą
Na Stasia z pędem wypadło.

Stasio stracił serce zucha
I co tchu miał dalej w nogi,
Czując, że to sprawa krucha
Wlaził na parkan koło drogi.

Gęsi za nim sycząc gonią,
Staś z przestraczem wielkim patrzy,
Sztachety się trzyma dłońią,
Z wielkiej trwogi coraz bledszy.

Wreszcie ujrzał wujka w dali,
Co powracał z pola miedza,
Więc się łzawym głosem żali:
— Ratuń, bo mnie gęsi zjedzą!



Nadbiegł wujek w jednej chwili,
Za nim ludzi tłum gromadą
I wśród śmiechów odpędzili
Naprzykrzonych gęsi stado.

Zszedł z parkanu Staś spotniały
Z owej przed gęsmi obawy.
Na czas pewien ten fakt cały
Pozbawił go męstwa sławy.

Adam Luch.

Poprawa Tadzia.

Tadziu! Chodź bawić się w ogrodzie — wołała na braciszka 8 letnia Mania — słońce tak ładnie świeci, że mama pozwoliła nam wyjść. Weź swoje zabawki i przyjdź do nas, tylko prędko, nie marudź! — Z temi słowy, wesoło podskakując, wybiegła z pokoju.

Tadzio chmurnie spojrział na nią.

— Oho! na tom dostał takie śliczne rzeczy, żebyście mi popsuli. Co mi za przyjemność siedzieć

w ogrodzie; daleko wolę zostać w pokoju, gdzie przynajmniej nikt mi nie będzie przeszkadzał w zabawie!

Wolno poszedł do szafki, stojącej w rogu, otworzył ją i zaczął wyjmować po kolei: piłkę ślicznie malowaną, pudełko z żołnierzami blaszanymi, słonina, który po nakręceniu chodził i ruszał trąbą, łamigłówki kolorowe i wiele innych rzeczy.

Wszystko było czyste i całe, znać, że mało używane, bo też Tadzio bardzo dbał o swoje zabawki, nikomu ich nigdy nie dawał, choć go nieraz o to jego znajomi i koledzy prosili; sam również nie wiele

ich używał; znajdował przyjemność w przyglądaniu się im. Teraz także poustawiał wszystko na stole, ale jakoś nie wydały mu się takie ładne, jak zwykle. Wziął piłkę i rzucił o ziemię; podskoczyła parę razy i potoczyła się w kąt; poruszył słonia, który po kilku ruchach też stanął; wziął w końcu łamigłówkę, ale i tu nie doznał zwykłej przyjemności; wszystkie obrazki znał na pamięć.

Zdziwiony, sam nie wiedział czego mu smutno; wtem usłyszał wesołe głosy, podszedł do okna i ujrzał Władka, Józia i Bolka, swych rówieśników, jak zapręgnięci do wózka, w którym spoczywała duża lalka Mani, galopowali po szerokich alejach ogrodu. Twarzyczki ich, zarumienione i uśmiechnięte wyrażały wielką radość.

Obraz ten wywarł na Tadziu przykre wrażenie; gdyby nie jego samolubstwo, byłby teraz w ogrodzie bawił się z niemi; a tak siedzi sam w pokoju; łzy zabłysły mu w oczach, już chciał otworzyć drzwi i wyjść, przeprosić towarzyszy, ale mama zaczęła właśnie zwoływać: „dzieci, do pokoju!”

I cała czwórka wbiegła ze śmiechem; wszyscy, całując mamę po rękach, wołali:

— Dziękujemy, dziękujemy! doskonaleśmy się bawili, taka śliczna pogoda!

Nikt nawet nie spojrzął na Tadzia, który smutny, blady, siedział w kąci. Mama tylko zbliżyła się do niego i spytała:

— Dla czego nie przyszedłeś do nas?

Tadziowi łzy zakręciły się w oczach, ale nic nie odpowiedział, a gdy w parę chwil potem Bolek z Władkiem zaczęli się naradzać nad dalszą zabawą w pokoju, Tadzio podszedł do nich i, wskazując na rozłożone zabawki, powiedział cicho:

— Jeżeli was to zabawi, to korzystajcie z tego wszystkiego.

Chłopcy ze zdziwieniem patrzyli na niego, bo do tej pory nigdy nikomu nie powierzał swych zabawek, ale zachęceni ponownymi zaprosinami, zabrali się do zabawy, do której i Tadzio się przyłączył.

Kiedy mama weszła do pokoju, wołając dzieci na podwieczorek, zastała wszystkich bawiących się w najlepsze żołnierzami, słoniem i piłką, a wśród nich Tadzia, wesołego i zadowolonego. Zbliżyła się więc do niego i spytała z uśmiechem:

— Cóż, synku, lepiej bawić się samemu, czy z towarzyszami?

Za całą odpowiedź Tadzio zarumienił się i pocałował mamę w rękę.

Od tej pory Tadzio nigdy nie bronił siostrze i towarzyskom bawienia się swemi zabawkami, bo przekonał się, że wspólna zabawa jest daleko przyjemniejsza; oni też, wiedząc, jak Tadziowi chodzi o całość zabawek, starali się nie psuć ich i nie niszczyć.

Jadwiga B.

Nierozważny motyl.

Była sobie łąka, a na niej rosło dużo kwiatów białych, żółtych i czerwonych.

Dowiedziały się o tem motylki, przyleciały, usiadły na kwiatkach, wsunęły w nich głęboko swe trąbki, i zaczęły sok wypijać.

Sok był słodki i bardzo im smakował. Razu jednego, motylki siedzą na kwiatkach, a tu chmury nadchodzą.

— Deszcz będzie — myślą sobie — skrzydełka nam zmoczy, trzeba wracać do domu.

I poleciały ukryć się pod listkami.

— Może nie będzie deszczu — myślał jeden z motylków — a sok tak dobrze smakuje, napiję się jeszcze trochę — i pozostał na kwiatku.

Naraz duża kropla deszczu spada na niego.

— Oj źle — myśli — trzeba uciekać.

A tu niedługo i druga kropla upadła i kilka jeszcze, motylek już cały mokry, upadł na listek i leżał jak martwy.

— Umieram — woła — ratujcie!

Ale nikt nie słyszał jego wołania i nikt na ratunek nie przyszedł.

Deszcz prędko ustał.

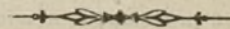
Słonko wyszło z za chmur, zobaczyło motylka, wysuszyło mu najpierw jedno skrzydełko, potem drugie, motylek podniósł się, a wtedy słonko ogrzało i wysuszyło trzecie i czwarte skrzydełko.

— O, nareszcie! — zawołał, — żyję, żyję!

— Dziękuję ci, piękne słonko, dziękuję — poleciał dalej.

Ale odtąd, gdy spotka młode motylki, zawsze im mówi: „uciekajcie przed deszczem, bo nie zawsze słonko prędko zaświeci i nie zawsze ogrzeje i ocali.

Marya Weryho.



DAR Y.

przełożyła z angielskiego

M. G.

(Dalszy ciąg).

Dzieci spały spokojnie i błogo, bo skrzydła są wygodniejsze niż najmiejsze postanie. Cień od wieży kościelnej przedłużył się nad cmentarzem, padł na probostwo i na pola za probostwem — a potem znikł i rozpląnął się w ogólnej szarości. Słońce zaśzło — i... skrzydła zniknęły! Dzieci wciąż spały — ale niedługo to trwało. Zmierzch jest bardzo przyjemny, lecz chłodny, a jak wam wiadomo, każdy, choćby najbardziej zaspany, obudzi się, gdy rodzeństwo, które wcześniej wstało, ściągnie z niego kołdrę. Dzieci pozbawione skrzydeł zziębły i obudziły się. I zobaczyły, że są na szczycie wieży w ciemności, wśród której zapalały się gwiazdy jedna po drugiej nad

ich głowami — dziesiątki, setki, tysiące, miliony gwiazd — i że są zdaleka od domu, z trzema i pół pensjami zapasu całego, a przytem w posiadaniu syfona, którego pochodzenie niełatwo będzie wytłomaczyć.

Spojrzały po sobie. Cyryl przemówił pierwszy podnosząc syfon:

— Trzeba zejść na dół i pozbyć się tego grata. Jest tak ciemno, że można go postawić pod drzwiami proboszcza. Chodźmy!

W samym rogu wieży były drzwi. Dzieci zauważyły je podczas jedzenia, ale nie obejrzały zblizka, tak jak wy uczynilibyście niezawodnie. Bo kto ma skrzydła i może bujać po niebie, za nic ma drzwi.

Ale teraz zwróciły się do nich.

— Tędy naturalnie można zejść na dół — powiedział Cyryl.

Tak było rzeczywiście. Ale drzwi były zaryglowane od zewnątrz!

A tu noc robiła się coraz ciemniejsza i ciemniejsza. A dzieci były daleko od domu. A prócz tego stał przy nich syfon po wodzie sodowej!

Nie mogę wam powiedzieć, czy kto płakał, a jeżeli płakał, czy bardzo, ani kto mianowicie... Najlepiej, zastanówcie się sami, cobyście uczynili, będąc w takim położeniu?

Gdy się trochę uspokoiłi, Antea schowała chusteczkę do kieszeni i objawszy w pół Kizię powiedziała:

— Nie będzie to trwać dłużej jak do rana. Będziemy dawać znaki chustkami, jak się dzień robi. Chustki wyschną do tej pory. A wtedy przyjdzie tu ktoś i wypuści nas...

— I znajdzie syfon... — dokończył Cyryl ponuro. I wezmą nas do więzienia za kradzież...

— Mówiłeś sam, że to nie kradzież... Mówiłeś, że jesteś pewny, że to nic złego...

— Ale teraz nie jestem tego pewny — odparł krótko Cyryl.

— Rzućmy ten obrzydły syfon na dół, między drzewa — zaproponował Robert. Wtedy już nikt nam nic nie zrobi.

— Zapewne! — roześmiał się ponuro Cyryl — żeby uderzyć kogo w głowę, zabić i stać się winnym zabójstwa, oprócz tamtego...

Nastąpiło milczenie. Po długiej chwili Cyryl przemówił bardzo wolno:

— Posłuchajcie! Trzeba się odważyć na coś stanowczego. Syfon włożę pod kurtkę, może go nikt nie spostrzeże. A wy wszyscy stańcie przedemną. Widać światło w oknach probostwa. Jeszcze nie poszli spać... Musimy krzyczeć, jak tylko można najgłośniej. Wrzańnijcie wszyscy razem, jak zawołam: „trzy!” Robercie! ty umiesz gwizdać jak lokomotywa, a ja będę gruchał jak gołąb. Dziewczęta mogą krzyczeć, jak zechcą... Raz — dwa — trzy!

Poczwórny wrzask zamącił ciszę wieczorną, a słuchająca na probostwie znieruchomiła z ręką na sznurku rolety.

— Raz — dwa — trzy!

Nowy wrzask, jeszcze przenikliwszy i pełniejszy pobudził sowy i wróble śpiące w dolnych pię-

trach wieży. Pokojówka odskoczyła od okna, zbiegła na dół do kuchni i zemdlała, opowiedziawszy lokajowi, kucharce i kuzynowi kucharki, że zobaczyła „ducha”. Była to nieprawda, naturalnie, ale widać jej nerwy straciły równowagę skutkiem przestraszenia.

— Raz — dwa — trzy!

Pastor wyszedł na schody przed domem; niepodobna było nie usłyszeć wrzasku, który powitał jego ukazanie się.

— Wielki Boże! — zwrócił się pastor do żony — moja droga! chyba zabijają kogoś w kościele! Dajcie mi kapelusz i moją grubą laskę i zawołajcie Andrzeja, żeby poszedł ze mną. Zapewne to ten sam warjat, co ukradł ozór i sy...

Wybiegł, ciągnąc za rękę Andrzeja.

Nowy wrzask rozległ się na jego widok. Gdy ucichło, Andrzej zawołał:

— Hej! wy tam! Czy to wy krzyczycie?

— My! — odpowiedziały odległe, zmieszane głosy.

— Zdaje się, że te krzyki rozlegają się gdzieś w górze — zauważył proboszcz. — To coś zdumiewającego!..

— Gdzie jesteście? — pytał Andrzej, a Cyryl odpowiedział najgrubszym jak mógł głosem, bardzo wolno i głośno:

— W kościele! Na wieży! Na dachu!

— Zejdźcie na dół! — zaproponował Andrzej.

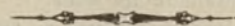
A głos odpowiedział:

— Nie mogę! Drzwi zamknięte!

— Wielki Boże! — zawołał proboszcz. — Andrzej! przynieś latarnię ze stajni... Możeby dobrze było zawołać jeszcze ludzi ze wsi?..

Andrzej poszedł po latarnię i po krewniaka kucharki, a pani pastorowa zaleciła wszystkim, żeby byli ostrożni.

(d. c. n.)



ZADANIE KONIKOWE.

uł. Wiosenka dla Lirnika z nad Bzury.

| | | | |
|-----|-----|------|------|
| nia | smo | przy | garn |
| Ko | ko | a | li |
| sam | ga | ciei | wi |

Z podanych sylab ułożyć przysłowie.

ZAGADKA LUDOWA.

podał Kaliszczanin.

Co to za drzewo, co zimą i latem
Zawsze z jednakowym kwiatem?

ROZWIĄZANIA DO N-ru 23 go.

Szarady: Bu — ra — ki.

Zamigłówki geograficznej: Warszawa.



Skowronkami jesteście, pisklęta moje, szkoła otwiera przed wami drzwi, a wy posłuszne miłemu rozkazowi rozbiegacie się na cztery strony świata z radosnym okrzykiem: „Wakacye!”

„Tak, wakacye to rzecz miła, wyśmienita rzecz!” śpiewa młoda rzesza, ale czy zastanowiliście się nad tem, jakie wakacye nakładają na was obowiązki?

Obowiązki, cóż znowu. „W czasie wakacyjnym, po pomyślnym zdaniu egzaminu jesteście wolni od wszelkich obowiązków” pisze **Pędziwiatr**. Tak sądzisz, Pędziwietrze kochany, a mnie się zdaje, że wszędzie i w każdym czasie ciężką nad nami zobowiązania względem Boga, bliźniego i względem siebie samych.

Względem Boga, bo patrząc na cuda natury, podziwiając wschód słońca, szum lasu, przezroczystość wód, barwy kwiatów, wznosimy duszę naszą do Stwórcy i dziękujemy Mu za Jego dary. Względem bliźnich, bo kiedy w wiejskim kościele zasiądziecie obok rodziców, wy szczęśliwi, którzy uczyć się macie sposobność, to szereg dzieciaków o lnianych czuprynach przyglądać się będzie waszym mundurkom. Spróbujcie zbliżyć się do tej gromadki, zasiać ziarno na niwie, której nikt nie uprawia. Niech was kochają bose zastępy, uczcie je szanować przyrodę, nie łamać drzew, nie zabierać gniazd.

A teraz do obowiązków względem samego siebie. Nie nadużyjcie swobody ze szkoda zdrowia. Strzeżcie się zaziębnienia, bądźcie ostrożni w kąpielu, ze strzelbą, z koniem! O chorobę, nawet, broń Boże, o kalectwo nie trudno, a wy właśnie po zdrowie jedziecie na wieś.

Jaskółka z niepokojem myśleć będzie o swych korespondentach, posyła te uwagi pod adresem Pędziwiata, gdyż jego list je wywołał, troszczy się jednak o całą swą rzeszę. Dość mam już zmartwienia z **Kochającym serduszkim**, które skutkiem wypadku choruje w Szwajcaryi, niechże mi go żadne z was nie przyczyni.

A teraz szczęście wam Boże, fruwaszcie skowronki, ja zostaję jeszcze przez dwa tygodnie w swym gnieździe, a potem także polecę na wakacye. Tym czasem sięgam po listy, które już nadeszły i wydobywam ze skrzynki... zgadnijcie co?..

Oto fotografię dwóch dzielnych pracowników **Miechowity** i **Inżyniera**. Przeszli obaj do trzeciej klasy bez egzaminu z nagrodami pierwszego stopnia. Czyż nie mam prawa być dumną z takich chłopaków? To też uśmiecham się do fotografii, chciałabym wyrazić szanownej waszej mamie, jak gorąco dzielę jej radość, a Witkowi i Felkowi życzyć, żeby naśladować braci, stali się jak oni pociechą rodziców, chlubą naszych „Wieczorów”

Wielką radość sprawił mi swym listem i **Niepełny Zwycięzca**, który pisze, że zachęcony moimi radami pozbył się złego przyzwyczajenia. Zwycięzca będzie przez wakacye towarzyszem i korepetytorem 9 letniego chłopca, a rozumie pewnie, że nauczyciel winien stać się żywym wzorem dla swego ucznia, że więc trzeba zacząć dzieło uświęcenia od samego siebie. Bóg daje łaskę ludziom, chcącym postępować w dobrem, ja ci tego postępu Zwycięzco życzę z całej duszy.

Zastygło serce, które najlepsze dałoby ci rady, sierocą idziesz drogą, ale przez pamięć na przedwczesnie zmarłą matkę miej odwagę zostań **Zupełnym Zwycięzcą** nad swemi wadami, a ucieszysz tem całą naszą gromadkę i mnie, która szczerze pragnę twego dobra.

Czyż to prawda, **Rycerzu z Melsztyna**, że ty trzecioklasista boisz się Jaskółki i dlatego dotąd nie odebrałam od ciebie listu! Trudno mi w to uwierzyć, więc żeby zawstydzic Rycerza, pierwsza wyciągam ku tobie pazurki, nie ścisnij ich tylko zbyt silnie żelazem okutą prawicą, bo ścierplą łapką trudno byłoby mi odpisywać innym korespondentom.

Naprzdź tobie, **Violo Tricoloris**, co tak miłą doniosłeś mi wiadomość. Winszuję z całego serca dobrze zdanego egzaminu. Co zaś do konkursu dla chłopców, to moi panowie prawdziwie nienasytzeni jesteście w żądaniach. Nasze kochane pismo ogłosiło w 25 numerze *wyłączny Kwestyonaryusz* dla was, a ty Violo upominasz się jeszcze o konkurs. Odpowiedzcie wprzdź ichmościowie na postawione pytania, odpowiedzi szczerze, jasno, dokładnie, niech jak jeden mąż staną wszyscy czytelnicy moi do tej pracy, niech wynik kwestyonaryusza przyniesie obfity plon spozstrzeżeń. W Nr. dzisiejszym macie znów konkurs na wypracowanie, dostępny również dla młodzieńców, jak i dla panienek. Czytelnicy, o których pytasz Violo, nie pisują do mnie weale.

A oto jeszcze list zucha, który tak pisze: „Byłem pierwszy raz w klasie, widziałem dużo dzieci i dużo nauczycieli, i zdałem egzamin”. Czy zgadliście, kto krótko i węzłowato zwiastuje dobrą nowinę? Oto **Wielki Łobuz**, kochany Wielki Łobuz! Ucieszył swoje siostrzyczki i mnie waszą Jaskółkę. Frunęłabym chętnie świergotać ze swemi przyjaciółmi, ale nie mogę Łobuzie lecieć do ciebie.

Oj **Janku, Janku Wywijanku**, jakże smutną zwiastujesz mi wiadomość. Nie wiem doprawdy, co mam odpowiedzieć na twój list, jak donieść naszemu kołu, że jeden z jego uczestników przez lenistwo nie dostał promocyi. A właśnie dzisiejsza skrzynka zawiera wyłącznie listy od różnych uczniów, nie zaplątał się między nimi ani jeden ze złą wiadomością, byłam dumna nagrodami Miechowity i Inżyniera, pomyślnymi egzaminami Violi, Rycerza, Łobuza i dopiero twój list popsuł mi radość. O Janeczku, jakże mi cię żal za smutek rodziców i cici, za upokorzenie, które znosisz z własnej winy.

Słusznie piszesz, że rok 1904 będzie ci na całe życie pamiętnym. Prawda, ślizgawka w zimie, a spacer w lecie, to wielkie pokusy, ale pokusy trzeba umieć zwyciężać, jak na męznego bojownika przystoi. Odwaga moralna jest nam również potrzebna jak fizyczna, jeśli tę ostatnią rozwijamy ćwiczeniami ciała, to mgztwo moralne zdobyć także można kształcąc w sobie sumienie, sprawiedliwość sądu i miłość obowiązku. Bądź mężnym, Janku, odpychaj pokusy lenistwa, nie poślążaj sam siebie, a jestem pewna, smutny tegoroczny zawód stanie się dla ciebie nauką na całe życie. Sprawozdanie z książek, które przeczytasz nie mogą mnie znudzić, przysyłaj je proszę, abym się pocieszyła nadzieją, że nabrawszy zamiłowania do nauki, nagrodzisz przykrość wyrządzoną waszej

Jaskółce.

Pierwiosnkowi z Galicyi. Żądasz przysłania całej powieści z dodatku książkowego „Obowiązek”, ale list twój nie zawiera ani daty, ani nazwiska, ani adresu, a nadto był opłacony marką 5 centową i musieliśmy dopłacić doń 12 kop. Zechciej więc dodać potrzebne wiadomości, a „Obowiązek” wysłamy ci, zbroszurowany. Będzie się jednak należało nam za książeczkę 20 k., a na przesyłki i zwrot kary — drugie 20 kop., czyli razem koronę w. a., którą możesz przesłać markami austriackimi.

(d. c. n.)

